

Bajkowe mocarstwo

29 maja 2016

Czy wiara w polskie imperium z przeszłości jest czymś więcej niż anachronicznym myśleniem życzeniowym?

Prawie milion kilometrów kwadratowych, terytoria od Estonii po Mołdawię i od Śląska po Smoleńsk (co z tego, że przeważnie nie w tym samym czasie...), „hołd carów ruskich” (nieważne, że byłych), szum husarskich skrzydeł (wkrótce utopionych w błocie Żółtych Wód i Korsunia, wyskubanych pod Batohem, jadących w szwedzkiej kondukcji albo opadających w kolejnych wojnach domowych). Polskie Imperium. Polska Mocarstwowa. Marzenie nie tylko nieziszczalne, ale i niestety w rzeczywistości nigdy nie zaistniałe...

BRAK TRWAŁOŚCI

Z prawdziwym Imperium mamy bowiem do czynienia wtedy, gdy uzyskane czynniki przewagi są trwałe, a tych – ustrojowych, ekonomicznych i militarnych Rzeczpospolita nawet w pozornym „szczyście swej potęgi”, czyli w okresie największego zasięgu terytorialnego, na początku XVII wieku – nie posiadała. Przeciwnie, okazało się, że osiągnęliśmy wówczas granice wzrostu, ostatnia już próba wygrania rywalizacji z Moskwą o dominację na Wschodzie, a więc autentyczne podwaliny potęgi – nie zakończyła się sukcesem. Rozpoczął się systematyczny regres naszej pozycji geopolitycznej i znaczenia międzynarodowego, a elementy rozkładu wpisane w system polityczny i społeczny Rzeczypospolitej ulegały systematycznemu wzmocnieniu.

Podobnie zresztą wcześniejsze (jak się okazywało – akcydentalne) przejawy potencjału państwa polskiego (polsko-litewskiego) nie były punktami węzłowymi historii, pozwalającymi przejść mu w stadium imperialne. Momentem takim nie był np. Grunwald, natomiast przełomową, a w każdym razie

symboliczną (w sensie negatywnym, niestety) rolę można przypisać zbliżonej czasowo, a rzadko w polskiej historiografii wspominanej bitwie nad Worsklą, w której wojska polskie nie wsparły wystarczająco (mając ku temu powody polityczne) księcia Witolda w jego planach odmiennej od moskiewskiej organizacji obszaru eurazjatyckiego (czy raczej dostępnej wówczas jego części). Przed laty już (na łamach „Myśli Polskiej”) opisywałem zamykające się kolejno przed Polską drzwi do mocarstwowości: najpierw nieodzyskanie własnych czynników siły – czyli całości Corona Regni Polonia ze Śląskiem i Pomorzem na czele, a następnie słabo zauważalne przez współczesnych, a opacznie, czy wręcz przeciwnie interpretowane przez potomnych konsekwentne zawracanie z dalszej drogi na Wschód, czyli ku nowym źródłom imperialności, zaczęte właśnie Worsklą, a spięte choćby symbolicznym odwrotem mających posiłkować Polaków wojsk rosyjskich dowiadujących się o klęsce pod Korsuniem. Braku tych potencjalnych zachodnich, czy trwałych wschodnich czynników potęgi w żaden sposób nie mogły zrekompensować chaotyczne działania zastępcze, czyli nieskoordynowana aktywność Jagiellonów na obszarze środkowo-europejskim, czy potem wciągnięcie w zawirowania bałtyckie. Były to już nawet nie namiastki mocarstwowości, ale po prostu rozpraszanie sił. Stąd też dobrymi symbolami naszego snu o imperium nie są ani mapki pokazujące maksymalny zasięg wewnątrznie skłóconej, wyjałowionej dynastii jagiellońskiej, ani rachityczne postępy Polaków i Litwinów nad Bałtykiem. Imperium mogliśmy mieć przede wszystkim na dwa sposoby: albo jednocząc w jednym państwie całość ziem polskich, i/albo pokonując Moskwę, ale pokonując tak, by zająć jej miejsce. Obu tych zadań zaś zrealizować nie umieliśmy lub nie mogliśmy.

NAGROBNE KAMIENIE I UCHYLANE DRZWI

Przy braku trwałych czynników mocarstwowości – utrwaliliśmy aż nadto wiele katalizatorów upadku upadku. Po Piastach nie wygenerowaliśmy żadnej narodowej dynastii i sprawnego ustroju, które były wówczas warunkami drogi do mocarstwowości.

Następnie doszły błędy fundamentalne, o charakterze tak wewnętrznym, jak i rzutuującym na pozycję międzynarodową Rzeczypospolitej, które przesądziły o klęsce tego projektu, wśród nich tak fundamentalne, jak:

- stopniowa emancypacja Prus,
- dalsze wyrzekanie się możliwości operowania na Wschodzie, czego smutnym symbolem stała się Unia Brzeska, wymyślona niewiele przed tak nas łechcącym obrazem mapy „największej Rzeczypospolitej” i ostatecznie niwecząca jego pozornie optymistyczny wydźwięk,
- konsekwentne funkcjonowanie Polski, a następnie całej Rzeczypospolitej jako Paradis Judaeorum, co wiązało się z umacnianiem zabójczej dla państwa tkanki społeczno-ekonomicznej.

A wszystko to były zjawiska widoczne już i sygnalizowane w swej fatalności w całym dwustuleciu między Grunwaldem a Kircholmem, a więc przez bodaj nasz jedyny w dziejach tzw. „Złoty Wiek”! Jak nieprawdziwy jest obraz „Polski Mocarstwowej” jako czegoś więcej, niż tylko potencjalnej możliwości – tak jednak i nieprawidłowy jest fatalizm widzący w historii Rzeczypospolitej tylko jedno, nieuchronne i niezmiennie pasmo upadku (choć faktycznie – jest to też szczególnie długi w historii nowożytnej przykład pogładowy ciągu narastających i potęgujących się wzajemnie błędów politycznych). Mówiąc prościej – nawet nie przeistaczając się w imperium, Polska nie musiała bezwzględnie upaść, przeciwnie, nawet w najtrudniejszych chwilach zachowywała pewną zdolność do uratowania przynajmniej części swego potencjału i stanu posiadania (że ostatecznie żaden ratunek się jednak nie powiódł – a to już faktycznie był dowód wyjątkowej konsekwencji naszych i nie tylko naszych przodków!). Podobnie też raz zamknięte wspomniane drzwi do imperialności niekiedy znów się uchylały – a to po wygaśnięciu przedwcześnie zestarzałych i przekwitłych Jagiellonów istniały możliwości

przynajmniej oglądnięcia się za nową, trwałą dynastią własną (niektórzy badacze wskazują w tamtym okresie choćby na... Hohenzollernów, a niewiele później nawet na... Piastów), a to można było włączyć element polski do innego projektu imperialnego, nadając mu bliski interesom polskim charakter (czy to w wydaniu Habsburgów, Rurykowiczów, Wazów na moskiewskim tronie czy Romanowych na tronie polsko-litewskim), a to wreszcie można było jednak starać się boczną ścieżką nadrabiać zaległości i zbierać ziemie polskie (sięgając po pojawiające się raz na jakiś czas w orbicie polskich monarchów księstwa śląskie). Ostatecznie jednak elity polityczne nie zdecydowały się na żaden z tych wielkich, śmiałych i potencjalnie przełomowych projektów, zaś te kojarzone dziś częściej z niespełnioną wizją imperialną marzenia, snute przez Batorego, Władysława IV, Sobieskiego, czy – o czym się pamięta rzadziej – Augusta II – pozostawały najczęściej tylko w sferze „gdybyż tylko się udało...”, czyli w ulubionym miejscu polskiej świadomości historycznej i politycznej. Gdyby się więc udało – Polska/Rzeczpospolita można by i była Imperium. Ale nie wyszło.

Autorstwo: Konrad Rękas

Źródło: NEon24.pl